

Giornale di Torino

Edward Pasewicz

Dezsó Totha w powieści wysłałem do Budapesztu. Sam, wraz z małżonkiem, zapakowałem się do samolotu linii Wizz Air i poleciałem do Turynu. Nie po to, by owinąć się całunem albo przeżyć nawrócenie. Raczej po to, by przekonać się, że jadąc z Mediolanu do Turynu, za brudną szybą pociągu regionalnego Trenitalia widzę takie same krajobrazy jak te, które oglądam w okolicach proletariackiej Wildy i jeszcze bardziej proletariackiego Dębca.

Magenta, miejscowość w połowie drogi między Mediolanem a Turynem, oglądana w okolicach dworca, przypomniła mi okolice Łęgów Dębińskich. Pomyślałem, że nawet szpaki są tu podobne, chociaż temperatura 25 kwietnia osiągnęła 21 stopni Celsjusza, a u nas było zaledwie 10.

Różowawy samolot wylądował szczęśliwie. Jakoś nie bałem się zupełnie. Rozmyślałem o pochówku na Wawelu i o tym, że w gruncie rzeczy miałem i mam całkiem ciekawe życie. Miła była wiadomość o nagrodzie Silesiusa dla Piotra Sommera i nominacji dla Mariusza Grzebalskiego. Do obu zresztą pisałem przed odlotem, mając w głowie obraz ostów, na których żerują trznadłe. Nie wiem dlaczego, ale te ptaki wydały się na miejscu, podczas gdy pisałem SMS-a o treści w gruncie rzeczy błahej, bo wewnętrznej satysfakcji i tak się nie odda pospolitymi formułkami. Tak, jestem szczęśliwy, że ten typ poezji, jaki uprawia Sommer, zaczyna być nagradzany i doceniany. Justyna i Carlo przyjechali po nas na dworzec Porta Nuova. Zastanawiałem się cały czas, czy ten piękny budynek mógł oglądać Nietzsche. Pierwsze chwile w tym mieście zdominowało właśnie rozmyślanie o nim.

Turyn – miasto przebóstwień. Może i coś w tym jest, skoro trzymają tu najświętsze relikwie. Replikami Santa Sindone wypełnione są +

wszystkie stragany wokół katedr. Kiedy szliśmy po Via Garibaldi, spojrzałem na prawosławnego duchownego, nie potrafiłem określić denominacji, ale zwrócił moją uwagę kołnierzyk jego sutanny haftowany w motywy z winogronami. Miał absolutnie pusty wzrok, siedział przy filiżance kawy i patrzył na plac w kierunku miejsca, gdzie wystawiono właśnie dowód na to, że niemożliwe jest możliwe. Nie potrafię określić źródła żalu, jaki pojawił się we mnie, kiedy uświadomiłem sobie, że może coś trące, nie wierząc, a z drugiej strony... chyba bym wolał nie dociekać źródeł. W końcu Turyn to miasto przebóstwień.

Róg Via San Francesco D'Assisi i Via Garibaldi. Pierwszy raz zamawiam dwa espresso: due espresso per favore. Czarnowłosa kelnerka o delikatnie obrzmiałym nosie (jakby całkiem niedawno zlikwidowała sobie garbek) poprawia mnie i śmieje się. Ma ładne zęby. Biorę obie kawy. Starszy pan pyta mnie po angielsku, czy dostałem to, co chciałem. Odpowiadam mu, że tak i myślę, że czasami chciałbym wyglądać jak klasyczny profesor, chudy, siwy gołąbek z okularami w drucianych oprawkach, jak facet, za którym niesie się delikatny opar lub fluid tysięcy książek, które przejrzał, przeczytał i wynotował z nich obszerne fragmenty, by się nimi pożywić w momencie zwątpienia albo, jak mówi mistyk: nocy ciemnej.

Wypijając dwa łyki, patrzę na okno, które właśnie otworzyło się delikatnie i jakaś zaspana twarz omiotła nas spojrzeniem. Nawet nie zdążyłem zarejestrować, jaką miała płeć owa twarz. To zresztą nieważne. Ważne okazały się nazwy Cup Cafe, wąsaty pomnik Wiktora Emanuela II. Myśl bardzo prosta, żeby nie powiedzieć: prostacka – całe to życie w gruncie rzeczy przeżywa się w wyobraźni, a ona karmi się głównie absurdalnymi szczegółami; jak na przykład zapachem czosnku przy moście nad

Dorą i widokiem wrony, która na tym moście podrzucała pod koła samochodów skradzionego skądś orzecha.

Cozzi to muszle. A dokładniej mule. Jaki związek ma z mulami wariactwo Fryderyka? Sala jest wypełniona zarówno turystami, jak i miejscowymi. Tych ostatnich jest nawet więcej. Najlepsza pizzeria w mieście, gdzie można zjeść mule. Ale nie tylko. U Braci Cozzi dał Ernest Hemingway, a także pił tam (stosowna tabliczka jest przy dolnym barze). Ale my siedzimy piętro wyżej. W budynku, który nosi numer 6 i kiedyś był pensjonatem. W mieszkaniu piętro wyżej zatrzymał się w 1888 roku Fryderyk. To w tym budynku pisał „Ecce Homo”, broszurkę przeciw Wagnerowi, oraz przeżabawne i tragiczne jednocześnie listy. Siedzimy więc właściwie pod jego mieszkaniem. Carlo namawia mnie, abym zjadł pizzę z jakąś specjalną kielbaską i serem. Ufam mu i się nie myślę. Na większości stolików stoją jednak ogromne talerze z mulami.

Kiedy idę do łazienki, wyglądam trwożliwie przez okienko. Zastanawiam się, jak ten plac musiał wyglądać rano, 3 stycznia 1889 roku. Wóz z węglem, bity koń i prosię bardzo, po utracie świadomości jest się bogiem. Nad placem wisi rozdęty księżyc. Wygląda dokładnie tak, jakby stanowił część fasady pałacu króla Wiktora Emanuela i jakby go specjalnie pompowano, by był wielki i złowróźbny. No cóż, skoro Edison twierdził, że pamięć to brygada ludzików, która majstruje przy zapisywaniu jej w mózgu, mogę spokojnie pomyśleć (myjąc ręce lawendowym mydłem i naciskając stopą pedały, by z kranu popłynęła woda, tutaj nie ma kurków), że sobie Włosi też taką ekipę do pompowania księżyca nad placem zmajstrowali.

Kiedy wychodzimy, Justyna staje ze mną przed tablicą pamiątkową. Brodaty Fryderyk

z profilu. Tablica jest z czasów, kiedy tu wszyscy kochali jeszcze II Duce. Podobno zresztą robił tutaj te swoje miny i wydymał wargi. Na tablicy enigmatyczny tekst mówi mi o pełni ludzkiego ducha, o tym, że tutaj dopełnił się tragiczny los i tak dalej, i dalej. Ale moją uwagę przykuwa coś innego. Klatka schodowa. Znajduje się 2, 3 metry od tablicy. Siedzi tam starszy pan w czarnej koszuli. Ma przynajmniej 70 lat. W Turynie chyba wszyscy w tym wieku albo są jakimiś arystokratami, albo potomkami ludzi, którzy służyli arystokratom (kawałek od Piazza Carlo Alberto zaczyna się specjalna dzielnica, gdzie mieszkała tylko służba). Był trochę zdziwiony, że się tak bezceremonialnie władowałem. Powtarzam: Nietzsche, a on odpowiada: Si, si! Mój włoski na tym się kończy.

Na ratunek przychodzi Justyna. Pyta dziadka, czy to możliwe, żeby właśnie tędy wchodził. Dziadek kiwa głową i mówi coś szybko. Tak, to rzeczywiście tutaj, ale ta klatka schodowa jest jakby podzielona. Jest jeszcze sklep. Ale schody są z tamtych czasów. Tu chodził. Dopytuję się o poręcz. Czy to ta sama. Kręci głowę i mówi, że nie wie, ale chyba nie. Pytam go, czy wielu ludzi przychodzi tu pytać o Fryderyka. Mówi, że raz na jakiś czas. Potem mówi, że on zwariował, bo za często siedział na placu. Według miejscowych nie powinno się tam przesiadywać. Dokładniej: między fasadą pałacu a pomnikiem. Zwariował, zwariował zupełnie! I dziadek wychodzi z nami pod tablicę, żeby zapalić papierosa.

Okazuje się, że ma to coś wspólnego z magią. Turyńscy ezoterycy twierdzą, że nakładają się tutaj 2 trójkąty, trójkąt czarnej i białej magii. Idziemy pod to miejsce, podczas gdy Carlo z Łukaszem stoją nadal w kolejce, by uregulować naszą należność za kolację. Siadamy na ławce, na której nie powinno się długo siedzieć.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że siedziałem tu w ciągu dnia i jedyne, co mi przyszło do głowy, to to, że nie ma tu ptaków. Żadnych ptasich odgłosów.

Patrzę w okienko, powyżej sali, gdzie jedliśmy. Świeci się. Jest tam teraz mieszkanie prywatne. Przed południem widziałem tam wywieszoną pościel. Zastanawiam się, czy ten ktoś wie, co się stało w jego pokoju? Mieszka tam staruszka czy małżeństwo w średnim wieku? A może to pokój jednego z tych studentów, których widziałem przy uniwersytecie? Ale nie sądzę, żeby wieczorami obcował z kimś, kto prawie 100 lat wcześniej w tym samym miejscu napisał: Znam swój los. Kiedyś przyłgnie do imienia mego wspomnienie czegoś potwornego – przesilenia, jakiego zgoła nie było na ziemi, najgłębszego starcia się sumień, rozstrzygnięcia wywołanego przeciw wszystkiemu, w co dotąd wierzone, czego żądano, co uświęcono. Jam zgoła nie człowiek, jam dynamit. – A przy tym wszystkim nie ma we mnie nic z założyciela religii – religie to sprawy mottochu, po zetknięciu się z ludźmi religijnymi muszę myć sobie ręce... Nie chcę „wiernych”, sądzę, że jestem za złośliwy, by w samego siebie wierzyć, nie mówię nigdy do tłumów... Straszliwy lęk mnie zbiera, że pewnego dnia ogłoszą mnie świętym; zgadniecie, dlaczego książkę tę przedtem wydaję; ma przeszkodzić, by nie dopuszczono się względem mnie zdrożności... Nie chcę być świętym, raczej jeszcze błaznem jarmarczonym... Może jestem błaznem... A mimo to, lub raczej nie mimo to – bo nie było dotąd nic kłamliwszego nad świętych – przemawia ze mnie prawda. – Lecz moja prawda jest straszna: bo dotąd zwano kłamstwo prawdą.

Następnego dnia, kiedy patrzyłem na balkonik, na sznurze od prania powiewało kilka par białych i czarnych bokserów. Logo firmy, która drobnymi chińskimi rączkami je uszyła, nie dostrzegłem. ○